

Bogaci i wolni dzięki burżuazji - przedmowa do wydania polskiego książki „Burżuazyjna godność”

Autor: **Deirdre McCloskey**

Tłumaczenie: **Jan Lewiński, Marcin Zieliński**

Zachęcamy do nabycia książki [Burżuazyjna godność](#).

Bardzo cieszy mnie wydanie w języku polskim drugiego tomu trylogii *Ery burżuazji* (w 2006 roku pojawił się pierwszy tom, *Bourgeois Virtues* [Burżuazyjne cnoty], drugi w 2010 roku, a w 2016 roku ukazał się wreszcie — chwalamy Pana! — tom trzeci, *Bourgeois Equality* [Burżuazyjna równość]). Jestem wielką miłośniczką polskiej kultury i historii. Pochodzę w końcu z Chicago, drugiego co do wielkości (jak mawiają mieszkańcy) polskiego miasta na świecie! Na Uniwersytecie Chicagowskim miałam zaszczyt współpracować z ekonomistą Arcadiusem Kahanem, bojownikiem antyfaszystowskim z czasów wojny światowej, a na Uniwersytecie Stanu Iowa z historykiem Jarosławem Pełenskim. Ze względu na nich uczestniczyłam w pracach komisji rozpatrujących prace doktorskie dotyczące polskiej historii, tak jak w przypadku Janusza Duzinkiewicza. (Dzięki przyjaźni z Januszem dowiedziałam się, że polskie „sz” wymawia się jak angielskie „sh”, a „cz” to tyle co „ch”!). Wielkim przyjacielem mojego ojca był Adam Ulam, politolog z Harvardu i młodszy brat matematyka Stanisława Ulama. Autobiografia Stanisława odmalowuje piękny portret życia studenckiego, jakie w latach trzydziestych toczyło się we Lwowie. Mam zatem pojęcie o drobnym wycinku polskiej historii i wiem o bolesnej i wyboistej drodze tego jeszcze w XVI wieku największego z tolerancyjnych społeczeństw na świecie — „*Polonia est mia*”, deklarował Erazm z Rotterdamu — które w XVII wieku czekał potop szwedzki, w drugiej połowie XVIII wieku rozbiory, przeprowadzone przez jakże życzliwe Prusy, Austrię i Rosję.

W sierpniu 1988 roku, w tygodniu poprzedzającym początek rozmów między komunistycznym rządem a Solidarnością, odbyłam swoją najdłuższą, dwutygodniową podróż do Polski. Pojechaliśmy do Warszawy i do Krakowa, gdzie

złożyłam cichą wizytę w Auschwitz. Kurs wymiany walutowej wariował, dlatego w Krakowie zjedliśmy w opowie pieśni patriotycznych wspaniały obiad z doskonałym winem za jakieś 4 dolary od osoby. Rewolucja wisiała w powietrzu. Ludzie nie bali się opowiadać prosto w twarze państwowych aparatczyków dowcipów o komunizmie, tak jak ten klasyk, który kończy się zdaniem: „Jest gorzej niż myślałam. Nawet naboju nie mają”¹. Ludzie przestali się bać.

Dwadzieścia lat później odwiedziłam Polskę tylko na kilka dni. Byłam zaszokowana ogromnym postępowaniem, jakie się tu dokonało. W 1988 roku widziałam mężczyznę niosącego zawieszony na miotle rolki papieru toaletowego — ten kiepskiej jakości socjalistyczny produkt w reżimie kontroli cen stał się rzadką zdobyczą. Na początku XXI wieku Polska była już normalnym krajem gospodarki rynkowej, dającym łatwy dostęp do sporych ilości całkiem niezłego papieru toaletowego w cenie ustalonej dzięki swobodzie podaży i popytu.

W swojej książce pytam o to, jak doszło do tego wielkiego wzbogacenia i czy jest ono dobre. Dlatego badam jego początki w Holandii w XVI wieku, przyglądam się brytyjskiej rewolucji przemysłowej i niesamowitemu postępowi gospodarczemu po 1800 roku, który dziś osiągnął nawet Chin i Indii. Moja odpowiedź nie należy do zwyczajowych wyjaśnień, takich jak marksistowski wyzysk czy smithowska akumulacja kapitału. Twierdę, że ową odpowiedzią jest wigor naszych nowych „burżuazyjnych” społeczeństw opartych na handlu, w których ludzie otwierają przedsiębiorstwa, otrzymują zysk i z korzyścią dla siebie i innych kupują dobra i usługi, nie będąc poniewieranymi przez państwo. Natomiast hierarchia ludzi wolnych ciemiężących swoich niewolników, panowanie szlachty nad chłopami lub zdominowanie kobiet przez mężczyzn dławili ludzką pomysłowość przez tysiąclecia.

Od początku lat dziewięćdziesiątych rozmyślałam o całościowej obronie tego, co zwykliśmy nazywać „kapitalizmem”. Wreszcie nieprzypadkowo doszłam do wniosku, że powinniśmy to słowo porzucić. Sprowadza ono zwolenników i przeciwników kapitalizmu na błędne tory myślenia, że gromadzenie cegieł lub worków z gotówką stanowi samo sedno naszego obecnego wzbogacenia. Bynajmniej. Akumulacja kapitału oczywiście jest niezbędną, ale tylko tak jak tlen i strzałka czasu. Ludzie zawsze gromadzili kapitał i tworzyli rynki, w pewnym sensie zawsze byli „kapitalistami”. Kapitalistą jesteś, gdy szukasz samochodu

¹ Jedną z wersji wspomnianego przez Autorkę dowcipu brzmi: Gdy sowiecki malkontent za krytykę braku w sklepach artykułów pierwszej potrzeby nie został rozstrzelany, a jedynie spalowany, powiedział: „Jest gorzej niż myślałam. Nawet naboju nie mają!” (przyp. JL).

w okazyjnej cenie. We Francji, we Włoszech i w Polsce przez ostatnie sto lat działało coś zupełnie innego niż zwykłe poszukiwanie zysku czy akumulacja kapitału.

Polska przeszła długą drogę od 3 dolarów (w cenach dzisiejszych) dziennego dochodu na osobę w 1800 roku do obecnie ponad 75 dolarów dziennie. Jak to się stało? Właśnie tak: Polacy zaczęli wdrażać i wynajdować nowe pomysły takie jak silnik parowy, nowoczesny uniwersytet, żelazobeton, odkurzacz, kontenery w transporcie towarowym, Internet czy — przechodząc do polskich odkryć — lampa naftowa, kamizelka kuloodporna, wykrywacz min i dawna tolerancja religijna. Wdrażanie części pomysłów, takich jak kolej żelazna, wymagało wielkich nakładów kapitału. Ale inne, jak choćby obniżone sufity, wcale tego nie potrzebowały. W każdym razie to nie kapitał stał za wielkim wzbogaceniem, lecz idea. Bez idei zalewanie gospodarki kapitałem prowadzi tylko do budowy całej masy idiotycznych tam wodnych i fabryk niemających żadnego celu. Przyjrzyj się Ghanie. Przyjrzyj się Polsce przed 1989 rokiem. Za to zalanie gospodarki ideami, jeśli tylko w dobrowolnej wymianie rynkowej zdadzą test zyskowności, sprawia, że kapitał znajduje się szybko i wzbogaca wszystkie strony. Przyjrzyj się Chinom, Indiom, Hiszpanii i Polsce.

Dlaczego więc polepszające nasz byt idee rozkwitły dopiero po 1800 roku? Ujmując rzecz jednym słowem, odpowiedzią jest wolność — rozbicie hierarchii będącej przeciwieństwem wolności. Pozwolenie ludziom na to, aby zgodnie z angielskim wyrażeniem „have a go” (mogli spróbować), okazało się dla nich rzeczą niezmiernie zachęcającą. Zaczęli otwierać sklepy tam, gdzie inni skłonni byli płacić, a nie tam, gdzie żądał tego lokalny watażka, lokalne władze czy miejscowy cech rzemieślników. Mogli wypróbować nowatorskie maszyny i nie byli atakowani przez ignoranckich luddystów czy bandytów trzymających ster władzy centralnej. Mogli prowadzić handel krajowy i zagraniczny z tym, z kim zechcieli. Dzięki usprawnieniom, które zdały test wymiany rynkowej, dochody na osobę wzrosły z 3 do 75 dolarów dziennie. Duże domy. Dobrze zbudowani i odżywieni ludzie. Duże szkoły i uniwersytety.

A skąd w tytułach moich książek słowo „burżuazyjna”? Stąd, że to właśnie mieszczańska klasa średnia odkryła przed nami owe usprawnienia. „Miejskie powietrze czyni wolnym” — głosi stare, wywodzące się z Niemczyzny powiedzenie. Pozostało ono prawdziwe. Gdy burżuanie nie byli w stanie nakłonić państwa do roztoczenia nad sobą parasola ochrony przed konkurencją, nie mogli

stać się diabłami wcielonymi znanymi z marksistowskich historyjek. Stawali się bohaterami. To oni sprawili, że jesteśmy teraz bogaci i wolni. Ale uwaga.

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych dzwoniłam z Iowa do sekretarki w Instytucie Badań Zaawansowanych w Princeton („Instytucie Einsteina”), aby przekazać jej, że tytuł mojego wystąpienia, które miałam tam prezentować, brzmiał „Burżuazyjne cnoty”, roześmiała się i zapytała: „To oksymoron, nieprawdaż?!”. Jej mała żartobliwa uwaga dość dobrze podsumowuje wszystko to, przeciw czemu wylewałam atrament przez ostatnie ćwierćwiecze.

Europejscy burżuanie nienawidzili siebie samych od dawna. Dla dobra najbiedniejszych pośród nas potrzebują teraz jakiegoś rodzaju wsparcia psychologicznego. Jestem gotowa im w tym pomóc. Bez żadnych dodatkowych opłat.

Deirdre Nansen McCloskey

październik 2017 roku